Lwów 17. Lipca. №84. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycinę mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na stęp. po 1½, kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Biòro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

X.

RODZEŃSTWO.

(Ciąg dalszy.)

Kazimierz na to nic nie odpowiedział. Zdawało mu się teraz, że na niego przyszła kolej uczynić ze swojej strony dla sprawy familii niejakie poświęcenie. A poświęceniem tem było milczenie.

Kamila jednak uważając to milczenie za zupełną submisją jej wyższemu talentowi, mówiła dalej:

— Źleś się wykierował *mon cher*, i daj sobie powiedzieć, że obranem stanowiskiem swojem nie wielki czynisz zaszczyt familii...

— Pracuję uczciwie.

— Tak, gryzipiórkiem jesteś, będziesz mandatariuszem... lub pisarczykiem na trzysta ryńskich!... Nie lepiej to było te szkoły porzucić, pojść do bogatego stryja na Podole... byłbyś panem, jeździłbyś w ekwipażu, chłopi kłaniali-by ci się do nóg, mówiąc ci co słowo: Jasny panie....

— Znasz *ma chére*, że familijną chorobą w naszym rodzie jest duma. Otóż i ja potomek tej rodziny jestem za dumny, aby żyć wyproszoną jałmużną i być próżniakiem.

— Jesteś przystojny, mógłbyś zrobić szczęście. Na Podolu jest wiele panien bogatych....

— I do tego nie zdolny jestem z tej samej przyczyny. Mąż wchodzący jako próżniak do majątku żony, wart jest pogardy.

— A w czemże szczęście twoje widzisz?

— W pracy, kochana Kamilo, w uczciwej pracy! O ty nie wiesz, co to za słodycz pokochać pracę! Wtedy to większa duma napawa nasze serce, niżeli drzewo rodu o stu ramionach!.. Dla nas, osobliwie dla bankrutów, jest to jedyny port po burzy straszliwej, w którym ukojenia serca i duszy dostąpić możemy. Jestito najpewniejsza i jedyna kotwica rozbitków społecznych, a kto jej się nie chwyci, ten zginie marnie i nędznie!

— Pięknym stylem mówi mój brat... a gdzież to *mon cher* uczą tak ładnego kwiecistego stylu? Czy odwiedzasz jakie salony?

— I dosyć często, ale nie te salony, o jakich niegdyś marzyliśmy.

— Zapewnie warsztaty rzemieślników.

— Ludzie wyższej pracy, moja siostro, mają salony, niemniej wykwintne jak te w których ty zwykłaś bywać, a ręczę ci, że zabawa tam jest daleko szczerszą i weselszą a nawet dowcipniejszą!....

— Ach jaki z ciebie demagog, widać Roberta, *on sent cette aimable societé*!

— *N'oubliez pas ma chére,* wtrącił Kazimierz z przekąsem, że niegdyś i ty polubiłaś *cette aimable societé*!...

Łza złości wychyliła się z pod powieki Kamili.

W tem rozległ się w pięciołokciowym salonie krzyk przeraźliwy. Kamila wypadła a za nią i brat wbrew wszelkiej przyzwoitości.

Okropne rzeczy ujrzano.

Staruszek siedział blady jak trup. Na oknie z roziskrzonemi oczami mruczał i pryskał czarny kot dimensji olbrzymich i nacierał z wściekłością na fatalną papugę.

— *Kakado*! *kakado*! krzyczał pułkownik, a białopierzasty Kakado rozpuścił czub i gotował się do zaciętej walki. Nie miła to była chwila dla prezentacyi, bo chociaż kota wypędzono i kakado swój czub napowrót złożył, pułkownik niechciał wiedzieć i słyszeć o nikim, póki papudze nie okazał swojej najserdeczniejszej kondolencyi. Wreszcie przemogły słowa Kamili, która łzę gniewu jako łzę rozczulenia wybornie zaaplikować umiała, a pułkownik powitał Kazimierza.

Rozmowa szła zwykłym trybem. Kazimierz mówił wiele o wojnie francuskiej i słuchał z wielką uwagą genealogii papugi, wyjaśniał mu stosunki w państwie tutejszem, słowem bawił staruszka, jak tylko mógł, aby siostrze do tak ważnego kroku, czyli poświęcenia się dopomódz. Ale fatalna jakaś gwiazda świeciła dzisiaj nad domem Szpigla. Ledwo bowiem drugi samowar zakipiał, wraz z szumem wody ozwał się za drzwiami jakiś niewyraźny szmer, powoli wylatywały pojedyńcze słowa, aż wreszcie usłyszano najkompletniejszą kłótnię dwóch kobiet.

— Głupia albo nie głupia, krzyczała jedna, ja chcę mówić i kwita.

— Ale mówię ci, że cię wyrzucić każę! niech tylko pan Szpigel usłyszy!

— Uwa! ja nie z takimi panami gadałam, jak pan Szpigiel, patrzajno!...

— Jeśli upiłaś się, to idź spać, a jutro przyjdziesz!

— Kiedy ja *owok* dzisiaj chcę!

— Zwarjowała kobieta!

— Zwarjowała albo niezwarjowała! Co ty wiesz, gdy ja z tym panem się obaczę i jemu coś powiem, to wyjdę z garścią złota! rozumiesz! Puść mnie do pani... o ja ją zaraz poznałam,... moje serce nie nadaremno tak mi pukało.... a sroka cały dzień czekotała!...

Kamila zbladła, ale pułkownik, znajomy nasz z wieczora u pani Artemizy, i Kazimierz tak się w rozmowę zapuścili, że tego wcale niespostrzegli.

— *Pardonne messieurs je me retire*, rzekła wstając.

Po chwili wszedł służący, i oznajmił, że panna hrabianka (tego tytułu używała służba) ma ból głowy i panu pułkownikowi wraz z bratem dobranoc zasyła.

Najszczęśliwszy w tej chwili był Robert. Wyszedłszy po drabince do owego pokoiku bez sufitu, musiał się rozśmiać się sam do siebie. Był to właściwie strych, ogrodzony czterma płotami i gliną narzucony. Słabe światło świeczki odbijało się fantastycznie po chropowatych ścianach i tworzyło tysiączne postacie. To łudziło podobieństwem okolicy górzystej, lub pieczary podziemnej z skalistemi ścianami, albo wody wzburzonej wichrem rozsrożonego morza, które co chwila groziło go pochłonić.

Okna wcale nie było. Był wprawdzie otwór dymnika, ale ten najmniejszego do okna nie miał podobieństwa. W kącie leżało kilka wiązek siana, zaścielonych kocem węgierskim, dalej worek z pierzem zawiązany szpagatem, i obok tego wywrócona skrzynka, na której stała duża gliniana miska, półgarncowa flaszka z wodą, tchnącą spirytusem, i szklanka z zapachem kwaśnego piwa. Wszystko to jednak niepopsuło wcale humoru naszemu bohaterowi, który połączywszy te dwa przeciwne sobie smaki, z największą wypił je rezygnacyą. Jakoś nie wiele dojmował mu brak komfortu, bo tego nie pragnął dla swego ciała, przenosząc go atoli w krainę ducha, w rozmiarach jak największych. To też aby czemprędzej użyć tego niebiańskiego komfortu, zgasił łojową świeczkę i nierozebrany rzucił się na siano.

A był to komfort prawdziwie niebiański. W koło pociemniało, rzeczywistość zakryła się czarną zasłoną. Niebyło już widać ścian z płotu ani gliny, ani skrzynki wywróconej, ale natomiast rozjaśnił się świat ducha, a jakieś cudne obrazki przeciągały jak *fata morgana* przed źrenicą poety. Tylko z góry, przez szczeliny dachu migotały gwiazdy a przez dymnik zaglądał czasami miesiąc przymglony.

Rozumie się, że królową tego niebiańskiego komfortu była Julia. Ostatni jej obraz odbił się żywo w duszy poety. Jej oko powleczone sklistą szatą uczucia, jej postać wdzięcznie ku niemu pochylona, jej głos dziwnie brzmiący jak zaczarowana melodia, wszystko to wychodziło z duszy młodzieńca i tworzyło jakiś szkic przecudny. Gwiazdki drżące ku niemu przez szpary dachu, to były jej wejrzenia, które zasełała mu z oddali na ukojenie duszy cierpiącej. Lekki swawolny wietrzyk, przedzierający się przez ścianę jego pokoju i dymnikiem ku niebu ulatający, to były jej westchnienia, które lekko uderzywszy o ucho kochanka wznosiły się ku niebu, aby się odziać ciałem anioła...

O jakże szczęśliwym był dzisiaj ten kochanek. Oprowadzał on Julią po krainie swoich marzeń, okazywał jej swoje bogactwa nieogarnione, a na każdy klejnot wykrzyknął z radością: Julio, skarb ten zdobyłem pracą...

W słowach tych nie było jednak tej pychy, z jaką odzywa się dorobkowicz do swojej kochanki: „Mam dobra obszerne i młyny, mam dom w mieście, mam galerią obrazów!” On tylko mógł powiedzieć:

Z pałaców sterczących dumnie
Zejdź o luba do mej chatki!
Świeże u mnie znajdziesz kwiatki
Szczere serce znajdziesz u mnie!...

Ale nasz poeta był także i uczonym. To też prócz świeżych kwiatków, okazał jej stosy wybornie zasuszonych herbaliów, okazał jej w kamieniach odciski zwierząt przedpotopowych, kości mamuta i tym podobne starożytności. Wprowadził ją w świat Faraonidów, otworzył przed nią piramidy egipskie, tłumaczył jej hieroglify sarkofagów królewskich... Julia stała przy nim poważnie, odziana w togę, a nawet słuchała ustępów z Owidiusza i unosiła się nad niemi. Powoli zmieniał się jej kostium. Wzięła na siebie dawną szatę matron polskich i usiadła w zagłębieniu ściany z kądzielą w ręku, śpiewając z kantyczek jakąś pieśń dziwacznej melodii i poezyi. Była to pieśń *„Bogarodzicy”* z ortografią pietnastego wieku...

O takiej Julii marzył uczony poeta, a strudzony marzeniem rzucił się w objęcie Morfeusza. —

Gdyby to objęcie nie było tak silne, poeta wyzwoliłby się z niego, i resztę nocy przepędziłby na czuwaniu. Tak bowiem straszny był sen jego. I we śnie widział on Julią, ale jak inna była ta Julia od tej, o jakiej on marzył na jawie... Zdawało mu się, że ją widzi w bogato i kapryśnie ustrojonym buduarze... przed nią zamiast Faraonidów i statutów wiślickich, leżały najwytworniejsze żurnale francuskie, koronki brabanckie, brylantowe stroiki i złotem przerabiane suknie balowe... zdawało mu się, że on w jej buduarze stoi w kącie, a gdy po swojej postaci dobrze się rozpatrzył, zatrwożył się że ubiór jego był lichy i potargany, że był tylko kontrastem przepychu! On niedawno taki bogacz wymarzony, stał dzisiaj w obec rzeczywistego bogactwa jak żebrak proszący jałmużny... Zdawało mu się że przestrzeń znajdująca się między nią a nim, zapadła się nagle i utworzyła przepaść okropną.... ujrzał się nad brzegiem tej przepaści, krzyknął o ratunek, wyciągnął ręce ku

drugiej stronie... a Julia stała tam spokojnie z upuszczonemi rękami, a słysząc jego głos rozpaczliwy jedną łzę z oka otarła i dalej — w żurnalach przewracała.....

Skurczyło się z bolu serce poety, i zdawało mu się, że zimne skrzydło anioła śmierci przemknęło w tej chwili po nad jego głową.

Otworzył oczy.

I wprawdzie przemknął ponad jego głową zimny prąd wiatru, a gdy ku drzwiom spojrzał, zdziwił się, widząc je otworzone i na pół oświecone. Z cicha podniósł głowę, aby obaczyć przyczynę tego zjawiska.

Ale jakże się mocno zdziwił, gdy przez drzwi na pół otwarte, ujrzał wsuwającą się z cicha postać kobiecą, ubraną w bieli, i trzymającą w ręku latarkę.

Z cicha przymknąwszy drzwi, posuwała się ku niemu. Światło latarki oświecało tylko naprzód, postać jej była w cieniu.

W pośrodku zatrzymała się chwilę, aby podnieść wleczacą się po ziemi szatę, która szelest sprawiała. Uczeń Owidiusza ujrzał przy tej sposobności najdrobniejszą w świecie nóżkę, jakiejby mogła nawet pozazdrościć znajoma mu dobrze Korynna. Nóżka ta ujęta była w biały pantofelek, a gdzie ten się kończył, poczynała się tak cudnie przezroczysta jakaś tkanina bruxelska, że leżący na sianie poeta uczuł w tej chwili na prawdę skrzydło anioła, tylko że nie śmierci!...

Było to tak coś nowego, tak coś szczególnego; ta postać biała, wyniosła, ta fantastyczna draperja białej sukni, oddającej jak najwierniej przecudne kształty, wreszcie ta tajemniczość zjawienia się i jakaś duszna gorącość atmosfery lipcowej, wszystko to uderzyło na raz przebudzonego poetę i zmysły mu pomięszało.

Posunął kilka razy ręką do czoła, czy nieśni, ale przekonał się że czuwa. Najpierwej wpadła mu na myśl Julja, ale zląkł się tej myśli i wzgardził nią, bo Julja była u niego czemsiś eterycznem, co niemiało ani pantofla ani tkaniny bruxelskiej...

Tymczasem rozpatrzyła się biała postać po izdebce, a ujrzawszy w kącie barłóg z siana, zbliżyła się do niego. Podniosła jeszcze raz suknią, jeszcze raz ujrzał poeta pantofelek i tkaninę bruxelską, schyliła się i siadła tuż obok niego na skrzynce wywróconej. Zaświeciła w twarz zdumionemu, i zdawało się, że rysy jego bada nie bez przyjemnego uczucia; po chwili zwróciła latarkę na siebie.

— Kamila! krzyknął poeta i wyciągnął rękę, niewiedzieć, czy chciał szatana od siebie odepchnąć, czy towarzyszkę młodości przywitać.

Kamila wzięła młodzieńca za rękę. Robert uczuł, że prąd gorąca wskróś go przeszedł, i wprawił nagle w jakieś dziwaczne, półsenne omdlenie. To też nie myślał już o szatanie, tylko z żywą roskoszą wpatrywał się w jej twarz prawdziwie piękną i pełnem światłem oświeconą. Już nie było na tej twarzy owej okrągłości dziecięcej, która bawi oko jak każdy kwiatek, ale widać było ślady wzruszeń przebytych, ślady duszy marzącej a nieukojonej, jakieś ukryte cierpienie, słowem, twarz ta miała już swoje dzieje, czyli, jak się zwykł wyrażać nasz uczony, była książką nader interesownej treści.

To też patrzał i patrzał w tę książkę, i chciał bez zapytania odczytać jej tajemnicze hieroglify. I Kamila patrzała w twarz towarzysza młodości, i niewiedzieć czyli także śledziła przeszłości, czyli chciała wyczytać, jakie wrażenie na nim uczyniło jej przyjście.

— Tak jest, to ja, ozwała się po chwili, to Kamila, towarzyszka zabaw twoich, zabaw dziecinnych.. a ta ręka, która ją niegdyś zatrzymała nad brzegiem przepaści, ta sama ręka nie odmówi jej i dzisiaj pomocy?... Nieprawdaż mój wybawco? dodała głosem tak dziwnym, że Robertowi nagle w oczach sto latarek się zaświeciło.

— Ach, to pani! prawdziwie... niech pani daruje, żem w pierwszej chwili był tak niegrzeczny... i uniósł się uczuciem... czy wspomnieniem...

— Ach wracasz pan do konwenięncji!

— Do przyzwoitości pani!

Tutaj chciał Robert cofnąć swoją rękę, ale Kamila ścisnęła ją tem bardziej.

— W słowach możesz pan wrócić do konweniencyi, rzekła spiesznie, ale raz zdobytego stanowiska nieopuszczę. Ta ręka w mojej dłoni jest mi rękojmią, że mnie pan nie zepchniesz z brzegu przepaści, nad którą stoję...

Robert spojrzał w oczy Kamili. W nich malowało się tyle boleści, tyle nadziei, tyle prośby z nieodpartą jakąś kokieterją, tyle wyzwania i naiwnej swobody, że mimowolnie uczuł jakiś rodzaj nieodgadnionej sympatii do pięknej a nieszczęśliwej suplikantki.

— Niegdyś wystarczało jedno moje spojrzenie, ozwała się po chwili Kamila, a dzisiaj niestety potrzeba nam słów i to słów wielu...

Już teraz Robertowi rozjaśniło się nagle w głowie, i dziwił się w duszy, że tego od razu nie odgadł. Oczywiście Kamila go kochała, i teraz przychodzi oświadczyć mu swoje uczucia. Wzięty w dwa ognie odchodził od zmysłów. *Primo loco* stała wprawdzie eteryczna Julia, ale tuż przed nim siedziała wyzywającej urody dziewica, w gorącej swojej dłoni trzymała jego rękę, liczyła uderzenia jego serca i mówiła mu wyraźnie, aby jej nie dał upaść z brzegu przepaści!... Dziwna walka rozpoczęła się w jego łonie, walka eteru z rzeczywistością, i zdawało mu się, że mu z każdą chwilą sił ubywa.

Aby ten fatalny guz jednym zamachem przeciąć, postanowił rozmarzony poeta najnaiwniej przed nią się wyspowiadać, a po takiej spowiedzi prosić o przebaczenie, że jej uczuciom wzajemnym być nie może!

Z najszczerszem więc sercem, a nawet z żalem i bolem zaczął jej opowiadać dzieje swego serca, swoje nadzieje i obawy, słowem powiedział jej całą osnowę dziwacznej swojej powieści, tylko o bohatyrce na ten raz jeszcze zamilczał. Kamila słuchała go na pół z uczuciem, na pół z ironią, a uśmiechała się złośliwie, gdy poeta rozmarzony wspomnieniami, ponad gwiazdy się wzbijał. Uśmiechała się, bo trzymając marzyciela za rękę, miała go w swojej mocy, jak rumaka na wodzy, a lada lekki uścisk, poeta zlatywał nagle z nieba na ziemię, a straciwszy w eterach swoją Julją, widział się na ziemi z Kamilą. Jedynym dla niego talizmanem był zaglądający przez dymnik miesiąc, ów natrętny ciekawniś wszystkich kochanków, a gdy poeta w jego twarz się wpatrzył, zdawało mu się, że widzi rysy Julji.

Kamila jednak była dzisiaj jakoś więcej sentymentalną, to też i łatwiej było dla Roberta swoje zmysły utrzymać w jakiej takiej równowadze.

— Więc pan kochasz! dodała z westchnieniem, a uścisk ręki miał reszty dokończyć.

— O! kocham! pani!.. kocham!.. zawołał poeta, i odwzajemnił uścisk, który tak był niezrozumiały, jak cała jego nauka.

— Spodziewałam się tego, bo tak wielkie i szlachetne serce nie może żyć bez owego ognia...

— Słusznie, słusznie, odparł poeta w radości, że Kamila odmowną jego odpowiedź tak łatwo przyjęła.

— Boli mnie tylko, że to serce tak prędko mogło zapomnieć pierwszych wrażeń, pierwszych uczuć...

— Ha!... to prawda, wyjąknął Robert, prawda, ale cóż robić... kiedy to serce...

— Kiedy to serce znalazło jaśniejszy brylant nad ten, który niegdyś...

— Który i teraz jest brylantem, dokończył Robert i ujrzał, jak jasny promień, prawdziwy połysk brylantu, błysnął z jej ócz modrych.

— O nie, zawołała Kamila, był to kamień fałszywy i tylko dla tego wydawał się brylantem, że błyszczał w oprawie złota, a gdy to mu odjęto, ściemniał i zczerniał i rzucono go, jak się rzuca cacko stłuczone...

Taka deklamacja zatrwożyła znowu poetę, który nie wiedział, czem mógłby pocieszyć dawną kochankę, nieubliżając uczuciu dla Julji. Ale Kamila wyprowadziła go sama z ambarasu.

— Nie panie Robercie, rzekła, nieprzyszłam tutaj w stroju kochanki, ale we włosiennicy pokutującej, z głową posypaną popiołem przychodzę, a jeźli do jego serca przemawiam, to na to tylko, aby z pełności jego uczuć uprosić dla siebie choć kroplę, choć kroplę!...

— Ach mów pani! mów pani!... zawołał Robert, któremu się w tej chwili zdawało, że jest bogaczem tego świata i widzi przed sobą Łazarza...

Widząc Kamila tak korzystne dla siebie usposobienie Roberta, poczęła mu się spowiadać ze swojego grzechu. Opowiadanie to było tak misterne, tyle łez, westchnień i uścisków ręki weszło do niego, że tkliwego serca młodzieniec nie mógł pojąć, jakim sposobem można siebie o coś oskarżać, co nie wypłynęło z woli i rozmysłu, ale było skutkiem dziwacznych okoliczności, sprowadzonych podstępem i intrygą. Ubolewając jednak nad upadkiem swego anioła, otarł łzę z oka, i spojrzał znowu na piękną pokutnicę.

Kamila siedziała prawie u stóp jego. Z latarki postawionej na skrzynce wywróconej bił czerwony strumień światła i drżał połyskiem na łzawych jej oczach. W tej chwili zaglądnął przez dymnik miesiąc, i rozpuszczone jej włosy oblał sinem, przezroczystem światłem. Był to prawdziwy obraz Magdaleny pokutującej, jak go artysta oddał w dwóch światłach.

Robert uniewinnił ją już w swojem sercu.

Kamila prowadziła rzecz dalej.

Zabezpieczywszy sobie współczucie młodzieńca, opowiedziała mu dalsze swoje plany. Mówiła mu o poświęceniu się dla rodziny, że aby dom od upadku ocalić, postanowiła przyjąć ofiarowane serce starego Azyanina, który właśnie do rozpatrzenia się w stosunkach familijnych z nią przyjechał. Rozumie się, że stosunki te domowe muszą się pułkownikowi okazać ze strony jak najlepszej, a choć to rozum jak najjaśniej uznaje, przypadek jednak grozi tutaj największem niebezpieczeństwem. Oto jakaś głupia kobieta ujęta niegdyś wielką nadzieją do zachowania tajemnicy, widzi dzisiaj w bogatym pułkowniku owego szczęśliwego ojca, który ją złotem obsypie. Takie zaś nieporozumienie mogłoby wszystko popsuć. Zażądała więc pomocy od Roberta, i podała mu sposób uwolnienia jej od tak groźnego niebezpieczeństwa.

— Widzisz więc mój wybawco, kończyła Kamila, że nie nadaremno tej ręki się trzymam, która mnie niegdyś z nad przepaści uratowała, czyż dzisiaj mnie ona odepchnie?

O! Robert nie miał tak okrutnego serca. Cieszył on się, że jego Julja wyszła zwycięzko, że dzięki talizmanowi z dymnika, przeminęło dla niego tak wielkie niebezpieczeństwo. To też przyrzekł wszystko uczynić, żadnego *ale* nie wymówił.

W podziękę uczuł ściśnienie ręki, lecz oraz uczuł, że to ściśnienie jakoś się dziwnie od tamtych różniło. Spojrzał w dymnik, a tam nie było już talizmanu, gwiazdy na niebie przygasły, jakoby w dachu szpiglowskim żadnej szpary niebyło!... (C. d. n.)

CHWILA MIŁOŚCI.

Widziałem twój rumieniec, te usta z koralu,
Ten szafir oczu i świeżość jagody,
Widziałem cię strojną w wieńce róż na balu,
„To dziecko" pomyślałem, choć sam byłem młody.

Słyszałem grę twoją i czułe piosenki,
Za wszystko chłodną płaciłem pochwałą;
Lecz gdym łzę ujrzał — uczuł drzenie ręki,
„To anioł" rzekłem — serce już kochało.

PO WODĘ.

Poszła — poszła czarnobrewa,
Za górę, po wodę —
A przy wodzie mile spiewa,
Jakieś chłopię młode.

Spiewa smutno — przy krynicy
Liść jaworu szumi —
Czułe serce krasawicy
Młodzieńca rozumie. —

Zrozumiała, pokochała,
Siadła pod jaworem —
Nabrać wody zapomniała,
Wróciła wieczorem. —

Przyszła rano czarnobrewa
Przyszła nad wieczorem —
Ale chłopiec już nie spiewa
Pod lubym jaworem!

J. C. Z.

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Wierny radom przyjaciela pan Felix zmienił zwykły zwyczaj życia swego; mało się w towarzystwach pokazywał, nie zwoływał garsonów głosem komandorskim, jadał w domu, sypiał po dniach; czasem tylko o szarej godzinie ze spuszczoną głową i w stroju zaniedbanym myszkował koło pomieszkania Julii. Za to późno w noc godował w kawiarni w towarzystwie dobranem obok modro-okiej czerwono-włosej Tereni, czasami brzask poranny zastawał go pomiędzy baterjami wypróżnionych szklanek. Tak mścił się nieborak za nudy dzienne. Czwartego dopiero dnia pojawił się Szpakowski u niego.

— I cóż? zapytał go.

— Nie źle idzie, przygotowałem baby na twoje przyjęcie.

— A Julia? cóż Julia?

— Nic, było z początku trochę krzywienia się, protestacyi, było i pomieszania, lecz w końcu przemogłem to wszystko. Reszty sam dokończysz.

— I nie zapomniała o mnie.

— Gdzież tam! Julia należy do rzędu tych arcysentymentalnych kobiet, które mają uczucie nader uparte Jednem słowem, jutro tam pójdziemy?....

— A dziś jedziemy do Lwowa, chociaż..

— Jedziemy i jechać musimy. Kto wie czy nie da się jeszcze coś innego, lepszego wymyśleć.

Po piaszczystej drodze raźno toczył się niebieski faetonik, a w nim wygodnie porozkładali się pan Felix i pan Szpakowski; paląc cygara gwarzyli wesoło, i jak się im zdawało nawet dowcipnie. Głównym przedmiotem rozmowy dowcipnej, było szukanie sposobu, jakim by się udało wytumanić u jakiego starozakonnego pieniężnych sukursów, panu Felixowi mocno już potrzebnych. Pan Szpakowski który nie darmo za jurystę się przedawał, różne w tej mierze przedstawiał projekta, mniej lub więcej sprytne, któremi ci panowie cieszyli się, śmiejąc się już naprzód z wyprowadzonych w pole brodatych potomków Izraela.

Nie mniej też szeroko, długo, a dowcipnie gwarzyli o kwestyi najważniejszej, o ożenieniu pana Felixa. Jak już napomknąłem, pan Szpakowski projektu z panną Julią nie odrzucał zupełnie, ale przy tem zdawał się mieć w odwodzie inny jeszcze planik strategiczny, któryby był korzystniejszy dla pana Felixa. Wszystko to z *czystej przyjaźni* dla szkolnego kolegi, który potakiwał mu, serdecznie dziękując za tę tak serdeczną przyjaźń. Lecz jak jeden tak i drugi śmieli się w duszy ze słów własnych; znali się bowiem nadto dobrze, aby mieli nie wiedzieć, że węzłem ich łączącym nie była to przyjaźń — niestety! czcze dziś słowo — lecz interes.

— Otóż i Lwów! zawołał Szpakowski, gdzie zajedziemy?

— Do Żorża, krzyknął Felix do furmana.

W bramie hotelu gapił się Szwajcar z srebrnym galonem, a po flankach tu i owdzie porozrzucani stali brodaci tiraliery, czychający na przybywającą szlachtę, gotowi do najzgrabniej przez nich prowadzonej partyzantki. Szwajcar postrzegłszy zdjął kapelusz i wyprostował się przed Wielmożnym Chromackim.

— Jak się masz Tomaszu? zapytał go popularny szlachcic, kto tam nowy do was zajechał?...

— Pani Kopycińska wróciła z Podola.

— Sama?

— Sama! odrzekł szwajcar. Pan zostanie przez żniwa na wsi.

Uśmiechnął się wdzięcznie na tę wiadomość Felunio. Pani Kopycińska, jak wam wiadomo, była jedyną z panien Chromackich, która potrafiła bez posagu ułowić między stertami podolskiemi wychowanego szlachcica, a jako przykładna małżonka, dla nadwątlonego mężowskiego zdrowia mieszkała z nim we Lwowie. Potrzebywała ona nie raz wywnętrzania się. Felunio miał miękkie serce, i chrześciańskie pobłażanie dla siostry Werońci, którą od czasu wyjścia za mąż najczulej kochał, dlatego też godzinami nie raz słuchał cierpliwie jej żalów na zbytną gorliwość agronomiczną męża, a skarg na *ataki* spazmowe, i jakieś *bicie* humorów i krwi do głowy. Felunio więc miał prawo za tę braterską miłość poskarzyć się wzajemnie to na *prożność* kobiet, to na *prożność* kieszeni, a w tej właśnie chwili czuł nie małą ochotę poskarzenia się na tę ostatnią przed lubą Werończią, i ztąd ów uśmiech przy odebraniu wiadomości o powrocie lubej siostruni.

— Gdzie się zobaczymy? zapytał Szpakowskiego.

— Czekaj mnie u siostry, za dwie godzin wrócę.

Szybko biegł po schodach pan Felix, wietrząc świeży grosz podolski u siostry. W tej mierze lepszy miał wiatr od najlepszego wyżła. Z serdecznym wyrazem radości i przywiązania na twarzy wbiegł do siostry, i uściskał ją z całą siłą braterskiego affektu. Siostra szczerze się ucieszyła, i *nieudaną* czułością przyjęła braterską komedją. Kobiety bowiem jeżeli czasem oszukają, pewnie daleko częściej są oszukiwane, bo się chętnie oszukiwać dają. Starzy, wątrobiani kawalerowie twierdzą: że to dowodzi słabości głowy; ja zaś utrzymuję że to słabość *poczciwego* ich serca i szlachetności duszy, która nigdy nie przypuszcza tyle obłudy i sofizmatycznych, na wszelkie zdrady już gotowych wykrętów, ile w pierwszej lepszej męskiej nadybać można głowie.

—Z kądże przyjeżdcasz kochany Felixie?

— Z Lubienia.

— Jak że ci służą kąpiele?

— Żartujesz chyba! A mnie na co kąpiel? Wszak wiesz że ja mam wiele zdrowia, gdyby tyle kassy.

— A więc nowa wyprawa małżeńska?

— Niestety! Oby się tylko udała, tak jak tobie.

Pani Kopycińska westchnęła z lekka.

— Życzę ci szczęścia mój drogi Felixie! lecz pamiętaj aby twój wybór był dobry, bo ty starasz się więcej o wybadanie tabuli, niż charakteru kobiety, a ostrzegam cię że takie z planu ułożone małżeństwa...

— Są najszczęśliwsze moja droga! Najlepszym dowodem tego jesteś ty i twój Kopyciński.

— Zapewne! odrzekła z półwestchnieniem i półuśmiechem. Lecz cóż robisz we Lwowie?...

— Czyliż nie wiesz że do każdej wyprawy, czy wojennej, czy małżeńskiej, najkonieczniejszą koniecznością są pieniądze. Znajduję się zaś w najfatalniejszem położeniu! dodał rzucając się na kanapę, i poprawił sobie czuprynę z wyrazem tragiczno-desperackim.

— Jakto?

— Jestem goły! a do konkurów są potrzebne pieniądze; przyjechałem tedy do Lwowa szukać ich u naszych brodatych lichwiarzy.

— Tylko się z niemi nie wdawaj Feluniu! na miłość Boga.

— Muszę, wyrzekł tragicznie i patetycznie, i spuścił głowę jakby głęboko zamyślony.

— I ileż ci potrzeba? spytała nieśmiało.

— Najmniej pięćset ryńskich.

— Jeżeli tylko tyle.... mogę ci mój drogi dać je.

— Droga siostro! wyrzekł pan Felix z zapałem. I jeszcze z większym zapałem schował do kieszeni podanych pięć papierków, których miękki szelest serce jego radośną pogłaskał drzączką.

Poczciwe kobiety! powtarzam i powtarzać wiecznie będę. Zawsze uczynne! stokroć oszukane nie odmówią przecie, gdy przemówi do nich głos miękko proszący, wzrok łzami zamglony, wyraz twarzy błagającej.

Zaczęła się rozmowa między bratem i siostrą o towarzystwach lubieńskich, szczegółowo o Julii, o którą go z prawdziwą troskliwością wypytywała, i radziła mu już zostać przy niej.

— Jeżeli jest taką, jak ją malujesz, czego jeszcze szukasz?

— Ma tylko 30.000!

— Ale z nią możesz być szczęśliwym!

— Ale powtarzam ci, ma tylko 30.000!

— Lecz......

— Daj pokój temu! i powiedz sama, czy nie przeniosłaś starego Kopycińskiego nad młodego Walerego, dla tego tylko, że dychawiczny Kopyciński miał dwie wsie na Podolu, a rumiany Walery tylko jedną wioszczynę w górach.

Nie było co na to odpowiedzieć! zamilkła więc siostra.

— Lecz czy pewny jesteś? bo jak opisałeś mi charakter Julii.....

— Nie wątpię bynajmniej, że do jesieni powitasz w niej bratową. Jestem w chwili szczęścia. W Lubieniu straszliwe pustki. Nie ma komu mierzyć się ze mną...... Lecz jak widzę zabierasz się do obiadu.

— Który zjesz ze mną!

— Najchętniej! odrzekł braciszek. Jestem strasznie głodny. Pan Felix miał apetyt doskonały, podwojony zwykle widokiem *proszonego* obiadu.

Właśnie był przy pulardzie, nieprzymawiając nader chudej, ale zawsze pulardzie, bo nawiasem powiedziawszy

w naszych traktjerniach lwowskich nie dostaniesz prawdziwego koguta, u nich zdybać możesz same tylko pulardy i kapłony, dowodzące praw naszych do wyższej cywilizacyi europejsko-spekulacyjnej. Przy onej więc pseudo-pulardzie właśnie siedział pan Felix, gdy nagle otworzyły się drzwi, i wbiegł zadyszany Szpakowski.

— Przepraszam! zawołał udając że się cofa.

— Nie żenuj się mój drogi, krzyknął nasz bohater pełen światowego: savoir vivre. Ma soeur, dodał uroczyście je vous présente mon ami, monsieur Szpakowski.

Nastąpiły oczywiście ukłony, wykrzykniki, i zwykłe frazesy jak przyzwoite tak też strasznie nudne, z których się składa owe savoir vivre, które u nas, idąc z góry od pałaców i kamienic miejskich, gdy zejdzie na dół do skromnych dworków szlacheckich, wygląda na najpocieszniejszą karykaturę, pełną wariacyj złożonych z przesad dodatkowych, i staje się podobnem do portretów sławnych świata potentatów, jakie zdybujemy porozrzucane w naszych austerjach.

— Mille pardons Madame! ale mam ważny interes do brata pani dobrodziejki.

— Mów otwarcie Józefie.

— C'est en particulier! wyrzekł Szpakowski telegrafując mu twarzą, palcami i okiem różne sygnały.

— Możesz mówić przed siostrą moją, que j'aime et que j'estime trop, aby mieć przed nią sekreta jakie.

— Rzecz to nader ważna! zagaił Szpakowski krygując się uśmiechem, i spojrzeniem, któremu starał się nadać dowcip i znaczenie. Musisz jechać zaraz ze mną do Kruczkiewicza. Mój komornik zrobił dla ciebie wielkie odkrycie, rodzaj Kalifornii w postaci posagu 50.000 z dodatkiem naturalnie bardzo przyzwoitej panny. Lecz czasu nie ma do tracenia, przed trzecią być musimy u mojego Kruczkiewicza, za którego w tej mierze jenialność ręczę, bo będą tam o tej godzinie i matka i córka.

Zerwał się pan Felix i odrzucił resztę pulardy z gestem wstrzemięźliwości czysto rzymskiej.

— Ale ja nie znam twego komornika, wyrzekł jednakże.

— Kruczkiewicz a ja, to jakby bliźnięta! *Gdybym nie był sobą, chciałbym być Kruczkiewiczem*! Możesz w tej mierze spuścić się na nas.

— Lecz panie dobrodzieju! ozwała się znowu siostra, brat mój zdybał dawną znajomą w Lubieniu i oświadczył się nawet podobno.

— Pardon Madame; nie oświadczył się jeszcze. A gdyby nawet, w chwilach życia stanowczych trzeba być wyższym nad przesądy zastarzałe. Ta o której mówię partja i pewniejsza i korzystniejsza.

— Przecież! zagadła jeszcze siostra.

— Ma chere! przypomnij sobie Walerego i Kopycińskiego, mruknął braciszek, i naturalnie zamknął siostrzyczce usta na siedm zamków.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* *O jarmarku ułaszkowieckim.* Woły i konie są zwykle najważniejszemi artykułami tego jarmarku. Wołów było w nadmiar. Kilkanaście stad, przypędzonych z paszy, tak wielki wpływ wywarły na zniżenie cen, iż znaczną część wołów podkarmionych, popędzono napowrót do domu. Przeciwnie zaś, woły robocze, chude, trzeciego dnia podrożały; więcej bowiem kupców przybyło, nikt jednak z kupujących bez wołów nie wrócił do domu. Płacono za parę wołów, która po wykarmieniu dziesięć cetnarów ważyć może, od 120 złr. do 130 złr. m. k. Przed dwoma tygodniami sprzedawano taką parę po 160 złr. w mon. kon. i wyżej.

Koni roboczych dosyć wyprowadzono, jednak dla zbyt wysokich cen, mało sprzedano. Koni prawdziwie rasowych było mało, a kupców na nie jeszcze mniej. Na surowe konie było mnóstwo kupców, ale daremne były ich oczekiwania, bo rząd rossyjski w tym roku nie pozwolił przeprowadzić z Bessarabii za Zbrucz ani jednego stada tabunów, pod żadnym warunkiem.

Zboża nowego bardzo mało sprzedano. Kupujący mieli ochotę nabyć, po zniżonej cenie. Utrzymywali oni, że komory nad Zbruczem wkrótce dostaną rozkaz przepuszczania zboża z okolic Kamieńca podolskiego i z Besarabii. Sprzedający zaś spodziewając się podwyższenia cen, nie spieszyli się ze sprzedażą. Zasoby w starym zbożu są bardzo szczupłe. Przed św. Janem niepamiętna posucha, trwająca parę tygodni, zniszczyła zupełnie nadzieje obfitego zbioru. Jęczmiona osobliwie ucierpiały; zwłaszcza w miejscach, gdzie role niedbale, płytko poorane były, tam nawet kłosków niema, poschodziły i uschły.

Pszenicy kupiono paręset korcy po 8 złr. m. k. z terminem odebrania do 1. Września.

Gorzałki sprzedano do 20.000 garncy, z terminem oddania w pierwszych dwóch miesiącach, garniec 30tu stopniuwej po 1 złr.

Przedano także parę set trójek, to jest: kukurudzę, jęczmień i hreczkę, i wzięto za te trzy korce po 9 złr. m. k. z terminem oddania do ostatniego Grudnia, a z dobrodziejstwem wykupna w tymże terminie, za odstępnem po 1 złr. 30 kr. m. k. od trzech korcy. Dla wojska cesarskiego kupił liwerant z Pesztu, 35 tysięcy skórek baranich, które zaraz z sobą zabrał; płacił sto skórek od 220 do 230 złr. mon. konw.

Pan Ostrowski złotnik przybył w tym roku pierwszy raz ze Lwowa do Ułaszkowiec i jesteśmy pewni, że już nadal żadnego jarmarku nieominie. Tak znaczny miał odbyt, iż o godzinie ósmej rano trudno było już wejść do sklepu. Ogromną ilość wyrobów złotych i srebrnych, zwłaszcza świeczników, zakupili żydzi z Bukowiny, Besarabii i Wołoszczyzny.

Kupcy, z różnemi towarami tu przybyli ze Lwowa, mieli znaczny odbyt, i kupujący byli zadowolnieni z towarów nabytych.

Jakiś Bajer dotrzymał istotnie słowa, i przybył z płótnami pierwszy raz do Ułaszkowiec, a niewątpimy że i ostatni. Panie kupiwszy u niego płótna, narzekały ze łzami w oczach na niegodziwość tych wyrobów, a dziwiły się, jak on się nie boi kary boskiej, wywożąc tak liche płótna na jarmark.

W niedzielę o pół do dwunastej w południe, zerwała się gwałtowna burza, poprzednicząca ulewnemu deszczowi, tak nagle iż nikt nie był w stanie z wystaw około sklepów pozbierać rzeczy. Paręset kapeluszów i czepków damskich, porozwieszanych na przedaż, drugie

tyle z głów przechodniów, obrazów bez liku porozkładanych na stołach, wszystkie wywieski przed sklepami, poniósł wicher światami. Na targowicy końskiej, płacącym i odbierającym pieniądze w tej chwili, porwał wiatr paręset reńskich z rąk. W skutek tej ulewy, trwającej pół godziny, ponieśli kupcy znaczne szkody, przenoszące u niektórych tysiące reńskich.

Budy jarmarkowe niektóre, są w nader złym stanie; gąty trzymające się zaledwie łat, wicher poodrywał, a deszcz nawalny znacznie towary przemoczył. Spodziewamy się, że w przyszłym roku zarząd ekonomiczny gorliwiej się zajmie restauracją dachów i ścian, mając tak wielkie dochody z jarmarków.

* Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiąże Karol Ferdynand przyjechawszy z Najdostojniejszą małżonką swoją, stanął w zimowej rezydencyi Najdostojniejszego Arcyksięcia Karola Ludwika. Zaraz w sobotę wieczorem banda pułku Lichtenstein odegrała serenadę. Nazajutrz jako w niedzielę odbyła się wielka parada kościelna. Trzy bataliony pułków Coronini, Szönhals i Aleksandra wystąpili w pełnej paradzie. JEx. komenderujący JW. hr. Szlik z wielą jenerałami i licznym sztabem czekał na dostojnego Gościa, który wszystkie przeszedłszy szeregi udał się na mszę do kościoła jezuickiego. Potem nastąpiła defilada przy której Arcyksiężniczka raczyła się okazać w oknie. Wieczorem oboje Najdostojniejsi Arcyksięstwo w towarzystwie Jego Cesarzewiczowskiej Mości Arcyksięcia Karola Ludwika, odwidzili przechadzkę na górze Franciszka Józefa, i piechotą wszystkie obeszli chodniki; przez cały ten czas przygrywała banda pułku Coronini.

* Przyjechał do stolicy naszej p. Bergheer, nieznany nam jeszcze chociaż nader znakomity artysta w zawodzie Magii wschodniej. Talent jego ma być niepospolity, o ile sądzić można po mnogich pochwałach jakie o nim czytaliśmy dawniej w różnych pismach, a niedawno w Czasie, który bardzo zaszczytnie wspomina o jego zadziwiającej zgrabności, i o doskonałych sztukach jakie pokazuje. Jeżeli tak jest w samej rzeczy, i jeżeli zdoła nas cholerą osołowiałych nieco rozerwać i rozweselić sztukami swemi, nie mała będzie mu się należeć wdzięczność; kuglarstwo jego stanie się pożytecznem, i kto wie czy nie stanie w pierwszym rzędzie środków anticholerycznych. Byłaby to wprawdzie większa sztuka, niżeli ucinanie głów probówane tyle kroć przez wielu kuglarskich sztukmistrzów.

* Że publiczność nasza nie łatwo zapomina, i ma pojęcie o prawdziwem pięknie, najlepiej dowiódł pierwszy występ pani Szreiber-Kirchberger w Lindzie. Znakomita ta spiewaczka była zawsze ulubienicą naszej publiczności. To też ledwie się okazała, przyjęto ją z dawno niewidzianym zapałem, i obsypano ją nie tylko oklaskami, ale bukietami i kwiatami, bez liku prawdziwie. To samo powtórzyło się przy końcu opery, a prócz tego po każdym akcie wywoływano ją po razy kilka. Artystka była tak rozrzewnioną, że przez łzy rozczulenia do głosu przyjść nie mogła. Odwdzięczyła się też spiewem, w którym obok dawnego wdzięku, poznaliśmy przybytek siły i wielkiego wykształcenia.

Przyjechali od dnia 14. do 16. Lipca do Lwowa.

PP. Borkowski Włodzimierz z Lubienia. Dzieduszycki Jan hr. ze Surochowa. Borowski Ludwik, z Krowicy. Głogowski Artur, z Bojaniec. Golejewski Jan hr. z Hryniowiec, Wiśniewski z Sulimowa.

PP. Majewski Antoni, z Tarnowa. Załuski Franciszek ze Zameczka. Pohorecki Roman, ze Żółkwi.

PP. Bobrowski Konstanty, z Humnisk. Pilatowski Marcin, z Bóbrki. Lipski Feliks, z Łuczyc. Domaradzki Seweryn, ze Stanimierza. Rychalski Feliks, z Derewlan.

Wyjechali od dnia 13. do 15. Lipca ze Lwowa.

PP. Malczewski Juliusz, do Skwarzawy. Wierzbicki Juliusz do Kutkorza. Zatorski Tadeusz, do Załuża. Batowski Aleksander, do Kulikowa. Janiszewski Teofil, do Stryja.

PP. Ubysz Felix i Oktawiusz do Ostobusza. Walewski Alexander do Kłodna. Trzciński Piotr do Żyrawy. Dzieduszycki Maurycy hr. do Bóbrki.

PP. Padlewski Alexander do Dołhego. Bąkowski Jan hr. do Rozdołu. Janiszewski Julian do Derewacza. Madejski Marian do Polanicy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 16. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$123\frac{1}{2}$	Pożyczka 5%	78 —
Hamburg za 100 tal. banco	90	Akcye banku	985
Londyn za 1 funt szterl.,	11 56	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	$122\frac{1}{8}$	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$143\frac{3}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$100\frac{3}{8}$
Agio duk. ces. . . .	$27\frac{7}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

		Gotówka				towarem		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	41	złr.	5	kr	44
Dukat cesarski	„	5	„	44	„	5	„	47
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	48	„	9	„	52
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	53	„	1	„	54
Talar pruski	„	1	„	49	„	1	„	50
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	23	„	1	„	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	93	„	20		93	„	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	„	30	„	70	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	—	„	84	„	—

Lwów, 16. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 33 złr. 45 kr. do 35 złr. 30 kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 23 złr. 45 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. 30 kr. — Ziemniaków po — złr. — do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 42 złr 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 40 złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 38 kr. do 3 złr. 13 kr. Centnar słomy 2 zł. — kr. do 2 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**